

Kolejna noc i kolejna kiełkująca bezsenność. Wstaję, otwieram wszystkie okna, palę, robię herbatę, jedną, drugą, lampka wina, sprawdzam wiadomości w Internecie, potem skroluję bezmyślnie fejsbukową tablicę. Nic z tego, żadna z tych fascynujących czynności nie znużyła mnie na tyle, żeby oczy w końcu pozwoliły mi odpocząć od nadmiaru mętnych wrażeń.

Zwlokłem się niechętnie z łóżka, narzuciłem pierwszy lepszy sweter i poszedłem na spacer. Przed siebie.

Miasto przywitało mnie jesiennym chłodem, niepokojną, pozorną ciszą i zmęczonymi twarzami nielicznych przechodniów, którzy wydawali się tak samo skołowani jak ja.

Błąkałem się chwilę po Wrocławskiej, monopolowy kusił mnie swoim wrodzonym urokiem, ale gdy minął mnie któryś już z rzędu pijany nastolatek,

ochota na chociażby jedno zdrowotne piwo zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Próbowałem myśleć o czymś konkretnym, gdziekolwiek zaczepić swoje myśli na dłużej niż jedną minutę, no i w końcu się udało. Dotarło do mnie, że od dwóch dni nie jadłem nic, co można by uznać za wartościowe pożywienie, chyba że za takie uchodzi kilka kromek zeschniętego na kamień chleba, który podgrzałem w mikrofali, a następnie posmarowałem reszką keczupu (ostatnia kanapka to był deser: chleb z chlebem – keczup się skończył). Usłyszałem, jak mój żołądek powiedział głośno „CHCE MI SIĘ JEŚĆ, BARDZO”, wyartykułował to kapitalikami, nie wahając się więc, ruszyłem różnym krokiem w stronę kebabowni.

Fastfoodowe zagłębie ulokowane jest w samym centrum Nowego Kleparza. Nieopodal znajduje się jeszcze pętla autobusowa, ale lwia część krajobrazu została zagospodarowana przez niezbyt estetyczne budy z hamburgerami, pizzą na wynos, zapiekankami, hot-dogami i – oczywiście – kebabami.

Była trzecia w nocy, w lokalu pustka. Na ekranie telewizora półnagie panie wiły się u stóp czarnoskórego śpiewaka, który miał przyciemniane okulary, palił cygaro, a na jego szyi świecił się złoty łańcuch.

Przywitałem się, jak na kulturalnego człowieka przystało, i zamówiłem tego w bułce i z wołowiną, choć powinienem zdecydować się na zawijanego, bo w niego zawsze więcej mięsa ładują, no ale jakoś mnie tak ochota na tę bułkę wytarzaną w sosie wzięła, że

twardo zostałem przy swoim pierwotnym postanowieniu.

– Sos?

– Półostrzy.

Zawszę biorę półostrzy, bo wtedy trzeba wymieścić dwa sosy i sosu jest więcej. To jedna z tych praktycznych rzeczy, których nauczyłem się na studiach (oprócz otwierania piwa zapalniczką, widelcem, łyżką, wszystkim).

Pani dziwnie się mi przyglądała, a ja nie bardzo wiedziałem, o co jej chodzi. Cóż, może mam jakąś kosmiczną fryzurę, może grymas mojej twarzy sugeruje, że od trzech dni nie mogę, choćby na chwilę, zmrużyć oka – nie wiem, nie interesuje mnie to, chce mi się jeść, proszę mi dać jedzenie.

Pani oskrobała mięcho z obracającego się rusztu, dodała kilka pomidorów, oliwki, ogórka, polała wszystko sosem ostrym, a potem łagodnym, dołożyła papryczki jalapeño, wetknęła widelec do środka i ten widelec stał tak dumnie jak flaga amerykańska wetknięta w stos trupów.

– Dwanaście złotych.

– Zbliżeniowo będzie.

Piip, piip, potem druk, potwierdzenie, nie, nie trzeba.

– Ale spodnie to ty sobie, kolego, może załóż. Zimno już o tej porze.

– Dziękuję, dobranoc.

No tak. Miałem na sobie bokserki z dziurą w kroku, rozlatujące się klapki Kubota i wełniany sweter pod szyję. Stylówka pierwsza klasa, w sam raz na późną jesień.

Czym prędzej zabrałem się do pałaszowania ostatniej wieczerzy. W miarę jedzenia robiło mi się coraz cieplej, siły witalne powoli wracały. Usiadłem na ławce obok przystanku, żeby zjeść jak człowiek, no i wtedy podjechał nocny.

Wsiadłem.

* * *

Za oknem krajobraz bez większych rewelacji – całe to miasto jest bez większych rewelacji. Lamy, chodniki, pasy, pomniki, światła, ludzie na przystankach, ludzie wracający z klubów, domówek, wieczorów kawalerskich, panieńskich, wszyscy stłoczeni, ściśnięci, hermetycznie homogenizowani, za głośni, zbyt tandetnie uśmiechnięci. Oni są w cugu, na wiecznej imprezie – jeszcze ich to cieszy, oni jeszcze nie wiedzą. Wieczni studenci, wieczne dzieci, wiecznie i na każdym kroku ci zjebani turyści, rzucający banknoty kelnerkom i barmanom jak przydrożnym kurwom, i jeszcze te spierdalone erasmusy; wieczne dzieci z wiecznie młodymi zachlanymi twarzami, Wieczne Królewskie Miasto Kraków dla wiecznych przechodniów.

Dojadam kebab, zwijam mokry papier i wyrzucam do kosza, który nagle wyrósł jak spod ziemi – no tak,

wysiadłem, nie mogłem już dłużej zdzierżyć tej dusznej atmosfery, a może nie mogłem wytrzymać docinzków odnośnie do moich kłapek i bokserek. Nie wiem, ostatnio sporo mi umyka.

No i teraz spaceruję sobie bez celu wzdłuż Kładki Ojca Bernatka, na której zawieszono są setki dowodów miłości w postaci kłódek. Jest Ola i Paweł, Natalia i Marcin, Patryk i Zosia, Łukasz i Adrian i tak dalej, i tak dalej.

Wiszą kłódky małe, symboliczne, są też poważne kłódziska, są złote, srebrne, miedziane, proste i zdobione, ręcznie malowane i takie robione na zamówienie też są. Tak już jest w kapitalizmie; miłość została kupiona za mniejsze lub większe pieniądze. Wieczorami panowie żule czasem tu przychodzą i wyręczają służby porządkowe w odciążaniu konstrukcji; przecinają szczypcami do metalu te wielkie i wzniosłe uczucia i sprzedają je potem na złom. Tak to właśnie wygląda.

Myślę sobie, myślę, ile tych miłości przetrwało, ile się rozpadło, kto unika tej ścieżki, a kto przechodzi z innym partnerem, czy tam partnerką, i uśmiecha się pod nosem, widząc resztki wielkich uczuć, co prawda jeszcze zawieszonych, ale już nieco zardzewiałych.

Nie mam nawet papierosa, a szkoda, bo nagle bardzo zachciało mi się palić. Rozglądam się w poszukiwaniu jakiejś zbłąkanej duszy – o czwartej w nocy wszyscy mają papierosy. Gatunek nieposiadających o tej porze nie egzystuje.

Nikogo jednak nie dostrzegam i już mam zawrócić, gdy na końcu kładki widzę niewyraźnie jakąś sylwetkę. Ruszam w tamtym kierunku, może się jeszcze tego szluga uda od kogoś wysępić. Niestety, szczęście od dłuższego czasu mi nie sprzyja. Moja jedyna nadzieja postanawia skoczyć z mostu. Nie wiem po co, ale jest trochę za zimno na dziewicze pływanie w blasku księżycy. Ratować czy nie ratować? Biec, stać i obserwować, a może odejść i zapomnieć, udawać, że mi się przewidziało? Dużo ostatnio mi się zdaje – całe życie ostatnio mi się zdaje. Może tak jest i tym razem? No i tak stoję jak ten pies zerwany ze smyczy, nie umiem za cholerę podjąć decyzji, tym bardziej że zawsze miałem ukryty szacunek do samobójców, którzy moim zdaniem mieli więcej odwagi niż cała reszta ludzi, wiodąca te swoje beznadziejne żywoty, ciągle czekająca na piątek, na weekend, ciągle marząca, że coś się wydarzy, coś się nagle na pewno wydarzy, samo z siebie, nie trzeba więc, kurwa, nic robić! Otóż nie, nie wydarzy się zupełnie nic.

Mimo wszystko ludzka część mnie, ta nabyta, wtłoczona, odezwała się silniej niż cała nadbudówka filozoficzna, puściłem się więc pędem na ratunek. W szaleńczym biegu moje nędzne bokserki podarły się do reszty, ale chuj z tym, biegnę, biegnę, ona już ma skoczyć, ale tak, zdążyłem. Chwytam ją za rękę i patrzę, próbuję zajrzeć w jej matowe oczy i nie brzmieć zbyt tandetnie.

– Nie rób tego. Po co?